NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 21.000·— Mk. z przes. 24.900·—Mk. Półrocznie 48000·— Mk. Rocznie 96000·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 400., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 1000.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Redakcja otwarta dla stron od 10—12. Rękopisów i fotografji Redakcja nie zwraca

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Numer pojedynczy 3000 Marek.

Rok XX. Kraków, 14 lipca 1923. Nr. 28.

Marsz. Rataj ratuje z fal morskich tonącego chłopca



Marszałek Sejmu Rataj

ratuje życie tonącemu chłopcu

(Do Illustracyi tytułowej)

Marszałek Sejmu obecnego, a były minister oświaty w gabinecie Obrony Państwa z r. 1920 p. Maciej Rataj stał się bohaterem niezwykłego wydarzenia. Bawi on obecnie na wywczasach nad polskiem morzem na Helu. Przed kilku dniami przechadzając się po plaży z jednym ze swych kolegów Sejmowych — posłów usłyszał rozpaczliwy krzyk, płacz i wołanie o pomoc. Okazało się że syn jednego z letników p. R. 10 letni chłopiec, kąpiąc się w morzu natrafił na głębsze miejsce i zaczął tonąć — a siostra jego, oczekująca nań na plaży, widząc brata tonącego — zaczęła wzywać rozpaczliwie pomocy. Marszałek Rataj bez namysłu skoczył w morze, dotarł do chłopca już tracącego przytomność i wyratował z odmętu morskiego. Czyn ten marszałka Rataja cieszącego się w Sejmie dużą powagą i uznaniem ze względu na okazywany zawsze takt i bezstronność, zdobędzie mu zapewne jeszcze szerszą, a zasłużoną popularność i sympatyę w najszerszych kołach społeczeństwa.



Defilada przed kanclerzem — prałatem: Defilada kompanii honorowej 5. p. piechoty austryackiej przed kanclerzem Seiplem na dziedzińcu Schönbruńskim. Na pierwszym planie kanclerz-prałat przyjmujący defiladę z kapeluszem w ręku.

Defilada przed kanclerzem-prałatem.

W starej rezydencyi Habsburgów w pięknym Schönbrunnie miała miejsce niezwykła uroczystość: Kanclerz rzeczypospolitej austryackiej prałat dr. Ignacy Seipel celebrował w wewnętrznym dziedzińcu pałacowym polową mszę żałobną, za dusze poległych w wielkiej wojnie żołnierzy. W nabożeństwie wzięli udział ministrowie republiki, posłowie do Sejmu austryackiego, radni miasta Wiednia i cały szereg związków i organizacyi społecznych ze sztandarami i orkiestrami. Po mszy św. kanclerz wygłosił do zgromadzonych kazanie. Następnie zaś odbyła się defilada kompanii honorowej 5-go pułku piechoty przed kanclerzem-prałatem, który na prezentowanie broni przez żołnierzy i oficerów odpowiedział zdjęciem prałackiego, o szerokim rondzie, kapelusza.

Pieśń polskich marynarzy.

Nasi młodzi wojskowi żeglarze posiadają już własną pieśń polskich marynarzy, śpiewaną na nutę I. brygady. Pierwsza jej zwrotka jest następującą:

Nie straszne nam są wichru wycia
Nie straszne zgrzyty masztu, rej,
Marynarz nie tęskni z ukrycia
Choć serce płacze — ty się śmiej!
My świata żeglarze
Polscy marynarze
Wśród morza fal
Rzuciliśmy swe życie w dal...
Wśród fal, wśród fal!



Tryumfy Paderewskiego w Paryżu: Najnowsza fotografia paryska, przedstawiająca wielkiego patryotę polskiego i mistrza fortepianu przy jego ulubionem pianinie, a wykonana po bankiecie, który, jak wiadomo, prezydent Francyi Millerand wydał na cześć pp. Paderewskich.

Z wystawy prac uczniów Szkoły Przemysłu Artystyczn.

Od 3 lat istnieje w Krakowie Państwowa Szkoła Przemysłu Artystycznego. Cicho i bez żadnej reklamy, ale poważnie pracowała ona przez cały ten czas nad kształceniem poważnej gromadki swych uczniów, aż wreszcie w bieżącym roku stanęła przed społeczeństwem z pokazem swego dorobku, urządzając pierwszą wystawę prac swych uczniów. Wyniki pracy pedagogicznej i artystycznej, które wykazuje wystawa, a które chlubnie o kierownikach szkoły świadczą, godne są istotnie baczniejszej uwagi.

Szkoła jest godna uwagi wszystkich, nie tylko tych — mniej licznych niestety ludzi — którzy poziomem kultury artystycznej, ruchem artystycznym i sztuką samą się interesują, ale i tych, którzy pracują na polu podźwignięcia polskiej wytwórczości, polskiego przemysłu.

Szkoła Przemysłu Artystycznego ma bowiem obok kształcenia artystycznego i cel inny, praktyczny a poważny. Przygotowuje ona pracowników, w dziedzinach, po których opanowanie nasza wytwórczość rodzima jeszcze nie sięgła, lub sięgać dopiero nieśmiało zaczyna. A eksponaty z zakresu kilimkarstwa, ceramiki artystycznej, zdobnictwa tekstylnego świadczą, że posiadać będziemy wkrótce zastęp pracowników wybitnych w tej mierze, którzy śmiało nietylko zmierzą się z zagranicznemi, okrzyczanymi specyalistami, ale i będą mogli całkowicie wytwórczość zagraniczną wyrugować.

Nadzieje te mają poważną podstawę w świadomem swych celów i zadań a niezwykle umiejętnem kierownictwie Szkoły. Zawiera ona 3 kursy zasadnicze: kurs I. pod kierownictwem prof. Homolccsa daje uczniom pierwsze fundamentalne wiadomości teoretyczne z zakresu form ogólnych i ornamentyki oraz zapoznają z materyałem najprostszym. Tu należy zdobnictwo graficzne, ornamenty na papierze, druki na materyach tekstylnych, batiki.

Na kursie II. (prof. Uziembły i Zarzyckiego) uczeń przechodzi przez studyum z natury martwej i żywej i uczy się stosowania motywów z tego zakresu do dekoracyi.

Kurs III. (prof Bukowskiego) obejmuje studyum aktu.

To są kursy ogólne. Obok nich istnieje szereg „szkół specyalnych", w których uczeń nietylko projektuje dekoracye i ornamenty, ale poznaje całą technikę i zastosowanie tych projektów. Więc nietylko projektuje się w Szkole kilimy, ale i wykonuje się je także i każdy uczeń szkoły tekstylnej (prowadzonej przez prof. Zarzyckiego) musi umieć sam wykonać zaprojektowany przez siebie wzór, musi znać całą technikę, dzięki której jego projekt realizuje się w materyale. Toż samo w innych „szkołach specyalnych" — czy to w szkole ceramiki artystycznej (prof. Szafrana) czy szkole rze-





Wystawa prac uczniów Państwowej Szkoły Przemysłu Artystycznego: 1) Kurs I. profesorów Homolacsa, Krzyżanowskiego, Uziembły i Wojtyczki; formy ogólne i zasady ornamentu, projekty kilimów, batiki i zdobnictwo najprostsze. Na pierwszym planie krzesło wykonane według rysunku uczniów. 2) Specyalna szkoła ceramiki artystycznej prowadzona przez prof. Szafrana i dyr. Raszkę oraz instruktora technicznego p. Gellera. Okazy ceramiki artystycznej, projektowane, wykonane, zdobione i wypalone przez uczniów w piecu przez nich samych naprawionym.

żby specyalnej (prof. Wójcika). Widać to w samej wystawie. Słuehacze kursu dekoracyi ściennej — musieli dać na egzamin wszelkie typy tych dekoracyi: od prostego, liniowego i paskowego malowania farbami klejowemi i od mniej lub więcej skomplikowanych projektów tapet i obić aż do polichromiii projektowania architektonicznego całych wnętrz. I tak w zakresie każdej szkoły. Szczególnie podkreślonym jest moment celowości przy studyum: oto w klasie rzeźby akt w gipsie robiony z żywego modelu, a obok, doskonale, z dużą pewnością i poczuciem kształtu oraz materyału cięta w drzewie postać Chrystusa ukoronowanego cierniem, punktowana z gipsowego aktu.

Podajemy tu kilka zdjęć z wystawy — niestety — nie obejmujących całości. A była ona istotnie imponująca. Prof. Jan Raszka, jeden z najwybitniejszych rzeźbiarzy naszych, który jest tej szkoły nie tylko dyrektorem, ale i duszą prawdziwą, oraz jego koledzy i przyjaciele — profesorowie tejże szkoły mogą być dumni z osiągniętych wyników. Wystawa prac ich uczniów uprawnia ich do tej dumy całkowicie.

a. ś.

15-lecie A. Z. S.

Krakowski Akademicki Związek Sportowy obchodził w ubiegłym tygodniu uroczyście jubileusz 15-letniej swej działalności. Na uroczystość tą przybyły delegacje akademickich stowarzyszeń sportowych z Warszawy, Lwowa i Poznania, aby uczestnictwem swym w zawodach uświetnić jubileusz najstarszej i najbardziej zasłużonej z organizacyi akademickich sportowych.

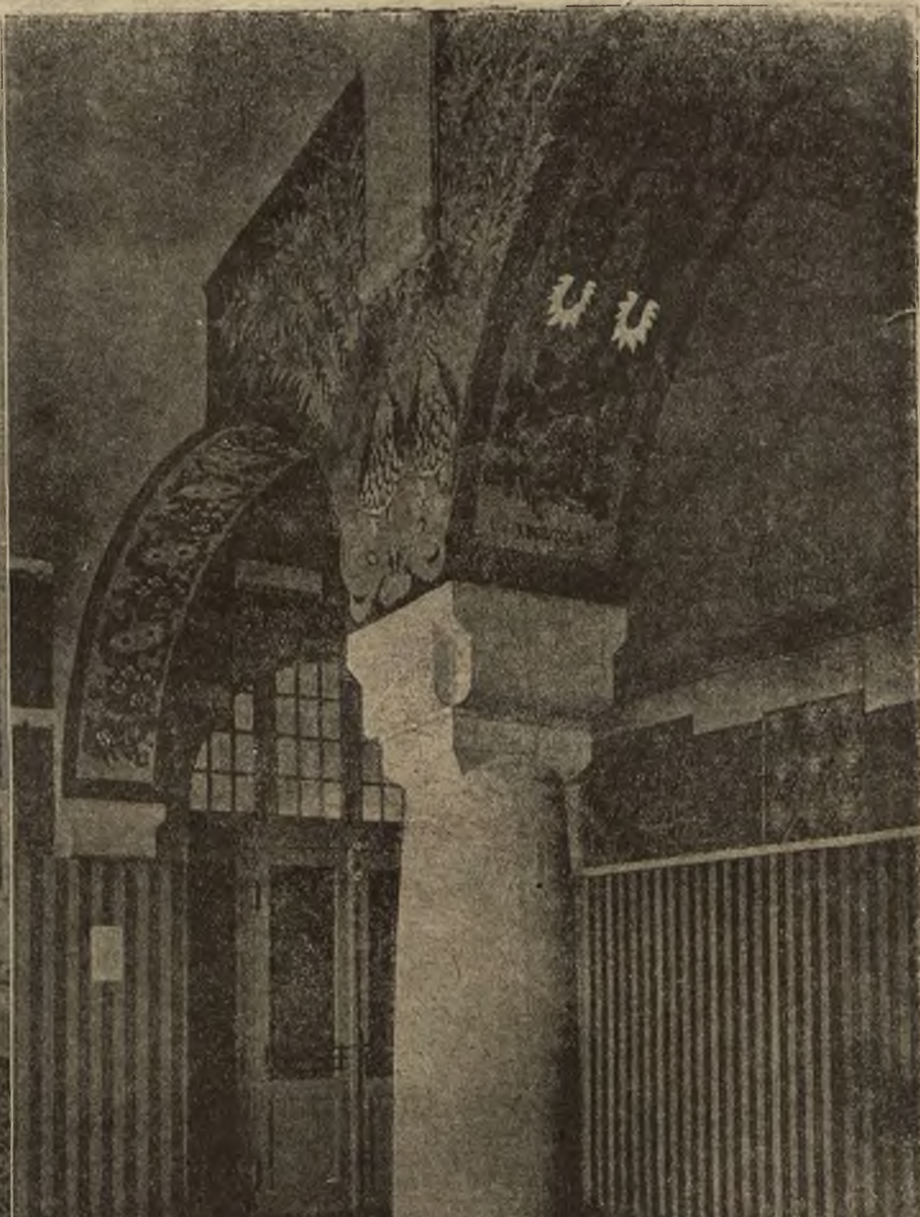
Zawody jubileuszowe obejmowały cały szereg działów. Odbyły się więc zawody jubileuszowe piłki nożnej o puhar Naczelnika Państwa. Walczył w tych zawodach pierwszego dnia z Warszawą i zwyciężył ją Poznań, ale po to tylko, by drugiego dnia oddać zwycięstwo wraz z puharem jubilackiej drużynie krakowskiej.

Zawody szermiercze przyniosły szereg pięknych wyników, dając mistrzostwo na rok 1923 panom Pappéemu (na florety), Małeckiemu (na szpady), Aderowi (na szable) — wszystkim z sekcyi szermierczej A. Z. S. Kraków.

W regatach zdobył piękne zwycięstwo na jednoosobowym skullingu p. Jan Bujwid, zwycięzca z regat sokolich.

W sekcyi tennisowej pierwszą nagrodę zdobył mistrz Rumunji p. San Galli, a mistrzostwo Polski pań p. Wiera Rychterówna z Łodzi.





Wystawa prac uczniów Państwowej Szkoły Przemysłu Artystycznego:

Specyalna Szkoła tekstylna pod kierunkiem prof. Zarzyckiego. Kilimy i gobeliny projektowane i wykonane przez uczniów. Ostatnio na ogólno-polskich konkursach w Warszawie i Lwowie uczniowie tej szkoły zdobyli pierwsze nagrody.

Specyalna szkoła malarstwa ściennego pod kierunkiem prof. Bukowskiega, Zarzyckiego i instruktora Holewińskiego. Malarstwo ścienne od liniowego aż do polichromii.

Zakończyły wreszcie turnieje zawody pływackie w pływalni parku Krakowskiego.

* * *

Pływalnia parku Krakowskiego, założona przed 40 laty przez wojskowość austryacką, po objęciu przez Gminę gruntow pofortyfikacyjnych, przeszła na jej własność i zmieniając kolejno dzierżawców dostała się przed 8 laty w zarząd znanego krakowskiego sportsmana, p. Eugenjusza Weissa.

Potrzeba wielkiego zakładu tego rodzaju, jak jest obecnie pływalnia parku Krakowskiego, była aż nadto widoczną. Urządzona na wzór wielkich miast staraniem obecnege dzierżawcy, jest wybornym terenem hygienicznej kultury jak i sportowych ćwiczeń, tem więcej, że z dobrodziejstwa tego korzystają nietylko liczne sfery publiczności, ale i mniej zamożna młodzież szkolna może z niej zupełnie bezpłatnie korzystać. (Kursy wychowania fizycznego, Józefici, Skauci i t. p.



Wystawa prac uczniów P. S. P. A.: Specyalna szkoła snycerstwa pod kierunkiem prof. Wojcika, Rzeźby w drzewie punktowane z gipsów. wykonanych na studium aktów. W środku gipsowy akt z modelu żywego i obok wykonana według tegoż aktu rzeźba w drzewie Chrystusa.

Szczęście.

Ach szczęście krótkotrwałe,
Ptaszyno ty spłoszona
W skrzydełka trzepiesz białe,
Uciekasz w dal —
A dusza zasmucona
A serce tak struchlałe —
Jak mi cię żal,
jak żal!...

Ach szczęście, cieniu złudny,
Pajęczyn cacko zwiewne
Na byt nasz szary, nudny
Rzucasz swój blask —
Lecz dary twe niepewne
I uśmiech twój obłudny,
Zgryzota z łask,
twych łask.

O szczęście ty zawodne,
Ty woni bzów znikoma,
Ty kłamstwo wiecznie modne
Wyciskasz łzy —
Hej, droga życia stroma,
I serce wrażeń głodne
A wkoło mgły
i mgły...

O, szczęście malowane
W motylich barw niestałość,
Na lodzie zamki szklane,
Paproci kwiat —
Niejedna poszła żałość,
Spojrzenie łzą zalane
Za tobą w świat,
gdzieś w świat...

Mieczysław Opałek.









15-lecie krakowskiego A. Z. S. *1) Konkurs tennisowy:* Mistrz Rumunii San Galli, który uzyskał I. nagrodę. Zdjęcie z duble'u w którym p. San Galli wraz z p. Dubieńską (Polką, zdobywczynią I. nagrody w Budapeszcie) grał przeciw parze Potuczek Zahaczewska. *2) Regaty:* Zwycięsca w regatach „Sokoła" i obecnych p. Jan Bujwid na jednoosobowym skullingu. 2) *Zawody pływackie:* Zwycięsca w skokach p. Adam Świszczowski zdjęty w chwili skoku „jaskółka z rozbiegiem". 4) *Zwycięscy w zawodach pływackich:* Od lewej do prawej: Semadeni (A. Z. S. Warszawa) zwycięsca w biegu na 100 m., p. M. Mayerówna (A. Z S. Kraków), zwyciężczyni w biegu pań na 100 m.; p. Świszczowski (A. Z. S. Kraków) zwycięsca w skokach i p. St. Ferens (A. Z. S. Kraków) zwycięsca w biegu na 200 m.

PAWEŁ ROSENHAYN.

„PALADYN"

(Dokończenie).

— Otóż, panie Jenkins, wtedy będę miał przyjemność zgromadzić około swego domu całą policyę Chrystyanii.

— Nie oczekiwałem czego innego.

— Pozatem w pokoju, gdzie stoi kasa, ustawię oddział urzędników policyjnych.

— Rozumie się, że pan tak zrobi. Inaczej byłby pan partaczem.

— I mimo to?...

— I mimo to. Mimo to do trzech dni będę miał „Paladyna" w rękach.

Blomdal głęboko zaczerpnął powietrza, poczem rzekł z lekkim uśmiechem:

— Kiedyż więc mam się spodziewać pańskiej wizyty?

— Tego jeszcze nie mogę powiedzieć. Ale pozwolę sobie moje przyjście zapowiedzieć pisemnie. Na razie chodźmy do obiadu.

* * *

W trzy dni później Blomdal, z twarzą zaczerwienioną od podniecenia, siedział w gabinecie prefekta policyi. Urzędnik już po raz trzeci odczytywał wytworny list, który mu przyniósł Blomdal, a na którym nie było nic więcej, jak tylko te słowa:

„Dziś w nocy, o godzinie pół do 1 szej.
Joe Jenkins".

Prefekt wstrząsnął głową.

— Proszę się tylko spuścić na mnie, kochany panie. Ten Amerykanin otrzyma u nas nauczkę, którą dobrze popamięta. Wracaj pan spokojnie do swej willi.

Nacisnął guzik telefonu i zawołał:

— Więc, inspektorze, pozostaje na tem, jak mówiłem. Trzydziestu ludzi obstawić dom Nr. 21, ulica St. Olaf. A sześciu sprytnych ustawi pan w pokoju, gdzie jest kasa.

Prefekt powstał i odprowadził gościa do drzwi.

— A co pan zrobi ze sobą, panie Blomdal?

— Ja naturalnie będę tam, gdzie kasa. Będę przy moim dyamencie.

— Dobrze. Gdyby zaś wydarzyło się co szczególnego, to proszę do mnie zatelefonować. Do mego mieszkania.

* * *

Nad Chrystyanią zawisła łagodna noc pierwszej wiosny.

Po zaułkach cichej ulicy St. Olaf błądził wilgotny wietrzyk południowy. Latarnie uliczne zwolna gasły i nastawała ciemność, tylko z jednego domu poprzez gęste żaluzye przedzierały się promienie światła.

Ludzie, którzy po cichu i niespostrzeżenie otoczyli dom, stali bez ruchu i z uwagą patrzeli w głąb ulicy. Znikąd nie dochodził szmer.

W pokoju, gdzie stała kasa, siedział Blomdal z sześciu urzędnikami i rozmawiał z nimi półgłosem, spoglądając od czasu do czasu na zegar. Północ już minęła. Ciszy nocnej nie zakłócił nawet najlżejszy szmer. Nerwowe naprężenie zaczęło działać na wszystkich, gorączkowe oczekiwanie wzrastało z minuty na minutę. W całym pokoju, we wszystkich mózgach, w całej tej męczącej atmosferze napięcia zdawało się drgać, jedno nie wymówione, ale wyczuwalne nazwisko: Joe Jenkins.

Wybił kwandrans na pierwszą. Uderzenie zegaru na wieży kościelnej grzmiącym dysonansem rozległo się wśród ciszy nocnej.

Nagle w jednej chwili wszyscy naraz zerwali się z miejsc: w całym domu światło elektryczne nagle zagasło.

— Gdzie telefon, panie Blomdal? — zawołał inspektor policyi — Muszę natychmiast telefonować.

Blomdal wziął inspektora za rękę i zaprowadził do telefonu w kącie pokoju.

Inspektor zażądał numeru prefekta.

— Hallo. Tu inspektor Tnostrup.

— Co nowego?

— Melduję posłusznie, tu w willi Nr. 21, ulica St. Olaf, zgasło nagle światło elektryczne.

— Właśnie doniesiono mi, że w całej tamtejszej dzielnicy zgasło światło. To chwilowe przerwanie w centrali dzielnicowej.

— Co mam robić, panie prefekcie?

— Pozostań pan tam. Ja przyjdę.

Za kilka minut na rogu ulipy i placu rozległ się szmer automobilu i nagle umilkł. Z wozu wysiadł prefekt i szybkimi lekkimi krokami ruszył do domu Nr. 21.

Jeden z policyantów przystąpił do niego i salutując służbowo, rzekł:

— Melduję posłusznie: światło zgasło, panie prefekcie.

— Wiem już. — odpowiedział tenże — Czy macie jakie światło na zapas?

— Zapaliliśmy świece.

Policyanci otworzyli drzwi wchodowe, prefekt wszedł w mroczną sień.

W pokoju kasowym świeciły się dwie świece, utrzymujące wielką jego przestrzeń w półmroku.

W drzwiach rozległo się pukanie. Blomdal otworzył.

— Pan prefekt! — zawołał oddychając z ulgą.

— Jest co nowego? — zapytał prefekt krótko.

— Nic.

— Nic?

— Nic. Literalnie nic.

— Nikt nie próbował dostać się do kasy?

— Nikt.

Prefekt kiwnął głową, poczem zaczerpnąwszy powietrza, zapytał:

— Czy jest pan pewny, że dyament znajduje się jeszcze na miejscu?

— To nie ulega wątpliwości!

— Proszę otworzyć.

Blomdal wydobył z kieszeni klucz, podniósł zasówkę, nastawił alfabet zamku na znane słowo i wsadził klucz. Rozległ się lekki trzask i drzwi otworzyły się zwolna.

Prefekt przystąpił bliżej. Jego spojrzenie padło na czarne pudełko, leżące w małej przegrodzie kasy.

— Więc to jest ten sławny „Paladyn" — mruknął i wyciągnął rękę ku kasie...

W tej samej chwili rozległ się dzwonek telefonu. Wszyscy zadrżeli wystraszeni.

Blomdal nerwowo chwycił za słuchawkę.

Równocześnie na wieży kościoła rozległy się dwa uderzenia: pół do pierwszej.

— No, co jest?

Blomdal ruszył ramionami:

— Nikt się nie zgłasza.

Prefekt nacisnął guzik u etui, przykrywka odskoczyła ze szmerem. Ośm głów pochyliło się nad skrzyneczką i z ośmiu ust wydarł się stłumiony krzyk.

Skrzyneczka była pusta!

Prefekt pomięszany i blady, spoglądał kolejno w twarze wszystkich mężczyzn, którzy stali przed nim przerażeni jak trupy i drżący.

— Jak sobie pan to tłómaczy, panie Blomdal — zapytał gł sem, który widocznie drżał.

Blomdal jęknął, konwulsyjnie zaczerpnął powietrza i zwrócił na prefekta twarz, która w migocącym blasku świec była zieloną.

— Tu chyba musiał być sam dyabeł! — wykrztusił jąkając się.

Prefekt zmarszczył brwi i rzekł surowo:

— Nikt nie śmie opuścić domu! Gdzie mieszka ten Jenkins?

— W hotelu Grand. Tak mi mówił.

Prefekt z gniewem trzasnął drzwiami i ciężkim krokiem zaczął schodzić po schodach. Z pochyloną głową i zwolna dowlókł się do rogu placu St. Olaf, gdzie czekał jego automobil.

W tejże samej chwili od strony zachodniej ulicy ukazał się drugi automobil. Na przodzie powiewała chorągiewka: była to oznaka policyi.

Automobil zatrzymał się przed domem Nr. 21. Z wozu wyskoczył mężczyzna i szybko wszedł do willi.

Policyanci spojrzeli po sobie z osłupieniem, potrząsnęli głowami, rzucili wzrokiem w stronę, gdzie błyskało jeszcze słabe światło oddalającego automobilu i znowu wpatrywali się we wchodzącego. Wątpliwości nie było: to był prefekt policyi! Ale, w takim razie... ów... ów, który właśnie odjechał...

Jeden z policyantów w milczeniu otworzył drzwi. Prefekt wszedł i ruszył schodami na górę.

Policyant stojący w przedpokoju, otworzył drzwi wiodące do pokoju kasowego. Prefekt stanął na progu, spojrzał po zebranych i rzekł:

— No, wydarzyło się co?

Blomdal przystąpił bliżej i ochrypłym głosem rzekł:

— Nie, panie prefekcie, nic się nie zdarzyło od chwili, gdy pan prefekt odszedł.

— Od chwili... gdy odszedłem?... — powtórzył prefekt zdziwiony — Jak pan to rozumie?

— Że w tych pięciu minutach nic się nie zmieniło.

— Jakich pięciu minutach?

— No, gdy... — w jego głosie znać było lekkie zniecierpliwienie — gdy przed pięciu minutami stwierdził pan, że kamień znikł.

— Ja?... Ja stwierdziłem?...

Twarz prefekta pokryła się rumieńcem.

— Ja stwierdziłem?... ja... ja przybywam prosto z mieszkania...

Nagle rozległ się przeraźliwy ryk Blomdala:

— Jenkins!

Jednym skokiem rzucił się Blomdal ku kasie, otworzył ją konwulsyjnie i szarpnięciem ręki wydobył skrzyneczkę.

Wewnątrz na białym atłasie leżała kartka z napisem:

„Otrzymałem. Dziękuję.
Joe Jenkins".

KONIEC.

Wina i pokuta

7) (Z angielskiego).

W gmachu sądowym adwokat Thompson oczekiwał na swą klientkę. Thompson sam ofiarował artystce swe usługi jako obrońca — na skutek usilnych próśb swego przyszłego szwagra Henryka Mortona.

Thompson nie ukrywał jednak przed Henrykiem, że ciężkie przypadło mu w udziale zadanie. Sama klientka utrudniała mu je niezmiernie. Zamiast otwarcie podać motywy krwawego czynu, które mogłyby posłużyć ewentualnie jako okoliczności łagodzące i podziałać na umysły sędziów przysięgłych — milczała uporczywie. Ani sędzia ani adwokat nic z niej ponad gołosłowne wyznanie wydobyć nie mogli. Wyznała, że zabiła, ale nie chciała powiedzieć — dlaczego...

Kiedy pewnego razu Thompson nastawał na nią silniej niż zwykle, odparła:

— Dlaczego? To tylko Bogu powiedzieć mogę. Ziemscy sędziowie, a jeszcze do tego mężczyźni — niezdolni są pojąć najtajniejszych drgnień duszy kobiecej. Niech się stanie zadość sprawiedliwości... Za winę — pokuta... A ja go zabiłam!...

Thompson ostatnie swe nadzieje pokładał w tem, że Alicya w czasie rozprawy nareszcie zdecyduje się przemówić.

Sala była doszczętnie wypełnioną przez żądną sensacyi publiczność. Wytworne panie z najlepszego towarzystwa, eleganccy panowie z arystokracyi, ubrylantowani przedstawiciele finansjery, lekarze, adwokaci, profesorowie, świat literacki i artystyczny, koledzy i koleżanki Alicyi Belmore — z teatru...

Tak senzacyjnej sprawy Londyn nie pamiętał od lat wielu. Przecież bohaterką była gwiazda teatralna pierwszorzędnego blasku... Alicya Belmore, słynna z piękności, talentu i nieskazitelnych obyczajów... Ona, która hołdy książąt krwi przyjmowała obojętnie... zabiła człowieka, którego kochała i który ją kochał...

Dlaczego?... dlaczego?

— Dlaczego? — to pytanie było na wszystkich ustach, kiedy oskarżoną wprowadzono do sali.

Ołówki reporterów dziennikarskich zaczęły się poruszać szybko po papierze. Niektóre panie uzbrajały oczy w lornetki.

— Oto ona!..

— Jaka blada!...

— Nie uszminkowała się widać!... — syczy zjadliwie jakiś głos niewieści.

— Ale taka spokojna i dumna jak zawsze!

— Ma minę królowej!.

— Jak gdyby sądzić miała, a nie zasiąść na ławie oskarżonych!

— No, poczekajmy, co będzie.

— I dlaczego ona go zabiła? Przecież chciał się z nią żenić?

— Któż tam wie - jak to było... Mówią, że...

— Cicho!... cicho!.. przewodniczący rozpoczyna rozprawę!...

Wśród niezamąconej ciszy odczytano akt oskarżenia.

— Czy pani chce coś odpowiedzieć? — zapytał przewodniczący oskarżonej.

— Nie.

— Zatem podtrzymuje pani swoje zeznanie, złożone w śledztwie?

— Tak.

— Czy pani chce coś może dodać do tych zeznań?

— Cóżbym dodać mogła? Cóż więcej powiedzieć mogę ponadto, że zabiłam Roberta Macmorrisa tym samym sztyletem, który tutaj leży...

Odpowiedź ta, choć nie była niespodzianką, zrobiła silne wrażenie zarówno na publiczności, jak i na sędziach przysięgłych.

Przewodniczący zmarszczył brwi.

— Szczere i otwarte wyznanie — to najlepsza rzecz w takiej sytuacyi. Ale jeśli pani chce, abyśmy w nie uwierzyli, to musi nam pani to bliżej wyjaśnić.

— Czyż samo stwierdzenie prawdy nie wystarcza?

W głosie oskarżonej zadźwięczało coś niby nuta lekkiej ironii.

Przewodniczący odrzekł spokojnie:

— Bywały już wypadki, że ludzie oskarżali się sami o przewinienia, których nie popełnili wcale.

— Czy panowie uważacie mnie za waryatkę?! — wybuchnęła Alicya.

Przewodniczący nie zwrócił nawet uwagi oskarżonej na niestosowność tonu, w jakim zwracała się do trybunału.

— Lekarze uznali panią za zdrową. A jednak miss Belmore, my musielibyśmy wątpić o pani poczytalności, jeżelibyś zabiła człowieka, który cię kochał - bez żadnego potemu powodu..

— Któż powiada, że bez żadnego powodu?

— Pani dotychczas nie wymieniła nam żadnego motywu...

— A panowie zmuszacie mnie, abym to uczyniła!

— Sąd nikogo nie zmusza. Tylko w pani interesie leży, abyśmy znali pobudki czynu...

Królewska postać Alicyi wyprostowała się jeszcze dumniej. Oczy oskarżonej błysnęły groźnie.

— Dobrze! więc powiem!... O cześć moją tu chodziło — o cześć kobiecą!...

Żywe poruszenie przebiegło przez salę. Sędzia pogładził swoją piękną, starannie przystrzyżoną brodę.

— O cześć pani?

— Tak! Całe miasto wie, że opinia moja była bez zarzutu!...

Sędzia pochylił głowę, potwierdzając.

— Istotnie, miss Belmore, wiemy wszyscy, że pani była kobietą — bez skazy!...

— Zanadto kochałam sztukę, czułam się kapłanką w jej świątyni, a kapłanki obowiązują surowe prawa cnoty...

Morze głów ludzkich zafalowało. Tego rodzaju poglądy w ustach aktorki — pomimo, że opinia Alicyi Belmore była ustaloną — stanowiły bądź co bądź niespodziankę.

— On — ciągnęła dalej Alicya — chciał zedrzeć z tego piedestału, strącić w to błoto, którego dotychczas uniknąć zdołała...

— On? Robert Macmorris? — zapytał sędzia.

— Tak! Możem działała w zaślepieniu, możem osądziła go zbyt surowo ale wówczas — w tej strasznej chwili był mi wrogiem śmiertelnym... Był jak bandyta, który napada znienacka bezbronnego wędrownika...

Wśród sali panowała cisza, nasycona elektrycznością, wyższego zainteresowania. Ustały szepty, ludzie oddech niemal wstrzymywali w piersi. Nawet ołówki reporterów zawisły w powietrzu.

Przewodniczący milczał przez chwilę, jakby zastanawiając się, co właściwie ma powiedzieć. Wreszcie rzekł:

— Więc pani działała dla własnej obrony?

— Poczęś i — tak!...

— Muszę więc panią poprosić, aby nam pani zechciała opowiedzieć przebieg całego zdarzenia. W jaki sposób dostała się pani w nocy do mieszkania Macmorrisa?

— Przyszłam tam z nim razem!...

— Ach! — wyrwał się z kilku piersi okrzyk. Takiej odpowiedzi snać nie oczekiwano.

— To znaczy, że wciągnął tam panią przemocą?

— Nie!...

— A zatem?

— Ja sama pragnęłam tam wejść...

Nastrój podniecenia wśród publiczności, przepełniającej salę, potęgował się.

Wśród bezwzględnej ciszy ozwał się donośny głos prokuratora.

— Swojego czasu udzieliła pani komisarzowi Greyowi zgoła odmiennych informacyi.. Twierdziła pani, że pan Macmorris odprowadził panią do hotelu „Splendid“, a potem udał się do swego mieszkania.

Oskarżona przez chwilkę zwlekała z odpowiedzią. Wreszcie z trudem wyrzekła:

— Kłamałam wówczas...

Znowu przeciągłe: ach! — ale tym razem brzmiało ono nieco inaczej. Ten elegancki tłum zaczynał powątpiewać w czystość Alicyi Belmore. Tu i ówdzie szeptano:

— Komedyantka!..

— Jakże zręcznie grała komedyę!...

— Nic dziwnego! to przecież jej fach...

— Miss Belmore — rzekł sędzia — powoływała się pani na swój honor i opinię bez skazy... Niech nam więc pani w imię tego powie, co panią skłoniło do zejścia z prostej drogi..

— Instykt samozachowawczy i miłość dla sztuki... Nie wiem czy panowie zdołacie mnie zrozumieć...

— Postaramy się.. Niech pani mówi.

— Ciężką walkę stoczyć musiałam z własnem sumieniem w imię miłości sztuki — opowiadała oskażona. — Nie lęk przed śmiercią i więzieniem skłaniał mnie do milczenia, ale usta zamykała mi myśl, żem nie wszystko jeszcze z siebie dla sztuki dała, co dać mogę, że zadanie moje życiowe niespełnione... I dlatego zezwalałam, aby niewinni za mnie cierpieli...

I to było najstraszniejsze... Z początku bowiem sądziłam, że czyn mój okryje mrok nierozwiązanej zagadki... A fałszywe ślady na które policya wpadała, podtrzymywały we mnie tę nadzieję...

Miałam wyjechać na gościnne występy do Ameryki... Pragnęłam olśnić amerykańską publiczność kreacyą Ibsenowskiej Hjördis... Chciałam stworzyć coś wielkiego i możeby mi się to udało...

Ale nie było mi danem...

Nadzieję, którą żywiłam, że niewinność aresztowanego pana Mortona wyjdzie na jaw, rozwiały się, ponieważ on przyznał się do czynu, którego nie popełnił.. A potem...

Alicya urwała nagle, jakby jej tchu w piersiach zabrakło. Do sali w tej chwili weszła pani Macmorris i Alicya utkwiła w jej twarzy spojrzenie.

— A potem przyszła do mnie sędziwa... szlachetna... bolejąca kobieta... I Bóg o kilka tygodni zawcześnie kazał mi wyznać... Taka była snać Jego Wola..

Alicya zamilkła, a głucha cisza była odpowiedzią świadczącą, że ją zrozumiano. Nietylko sędziowie, ale i publiczność wniknęła w pobudki postępowania artystki. To nie niska tchórzliwość zamykała jej dotychczas usta, ale wygórowana ambicya artystyczna...

Po krótkiej przerwie przewodniczący odezwał się:

— Niech nam pani teraz coś powie o samym czynie. Więc to się stało w mieszkaniu Macmorrisa... Co panią tam przywiodło?

— Bagatela... Śmieszny przypadek... Kiedyśmy szli przez most, zaczepiłam suknią o żelazne balaski i rozdarłam... W podartej sukni nie mogłam przecież pokazać się w hotelu „Splendid“... Należało uszkodzenie natychmiast naprawić... Wpadło mi więc na myśl, aby poprosić pana Macmorrisa o zaprowadzenie mnie do jego mieszkania, które było o wiele bliżej niż moje własne — w celu zeszycia rozdarcia...

— Jakże pan Macmorris przyjął pani propozycyę?

— Z widoczną uciechą. W kilka minut potem znaleźliśmy się w jego mieszkaniu. Macmorris wprowadził mnie do swego gabinetu i zapalił lampę naftową... Nie lubił bowiem elektryczności..

— No i cóż dalej?

— Szybko naprawiłam suknię i chciałam odejść, ale Macmorris zatrzymywał mnie... Pokazywał mi urządzenie mieszkania i cenne antyki, którymi się zawsze interesowałam...

— Czy... wśród tych przedmiotów znalazł się także ów sztylet, którym się pani później posłużyła?

— Tak. Robert pokazał mi to piękne, morderce cacko i opowiedział, że dostał je w podarunku od Mortona, który teraz z powodu mnie stał się jego śmiertelnym wrogiem. I — jakby pod wpływem rozbudzonej nagle namiętności posadził mnie na sofie obok siebie..

— Jeżeli się to pani wydało podejrzanem, a suknia została już naprawioną, dlaczego nie odeszła pani natychmiast? Wszak i w hotelu „Splendid“ oczekiwano na panią? — zapytał przewodniczący.

— Zapomina pan, że ja... kochałam Roberta, że z upragnieniem oczekiwałam decydującego słowa, które mnie miało uczynić jego żoną... I zdawało mi się, że ta chwila nadeszła... Inne przypuszczenie nie przemknęło mi przez myśl... Ufałam Robertowi, wierzyłam, że mnie naprawdę kocha i oceniał... I takie straszne rozczarowanie!..

Głos Alicyi załamał się, nabierał jakichś chrypliwych tonów...

— Gdy chwycił mnie za ręce — palące się cygaro upadło na ziemię.., Chciałam schylić się się po nie, aby nie wypaliło dziury w dywanie, ale w tej chwili Robert opasał mnie ramionami... Czułam jego gorący oddech na mojej twarzy... Cisnąc mnie w swych objęciach, szeptał mi do ucha: „Bądź moją!... bądź bez zastrzeżeń moją!... Dowiedz mi, że mnie kochasz!... Teraz nadeszła chwila, kiedy możesz dowieść mi swej miłości!..“.

Szalony gniew wstrząsnął mną i dał mi siłę rozpaczy.

— Podły!... — wykrzyknęłam. — Więc to był twój cel?!.. to była twoja miłość!... O! dopiero teraz cię poznałam!...

Udało mi się wydrzeć z jego objęć na chwilę, ale już znowu wyciągał po mnie swoje męskie, silne ramiona... Ciemno robiło mi się przed oczami, czułam, że słabnę i że nie długo przestanę stawiać opór... Nienawidziłam samej siebie za tę słabość i nienawidziłam jego!... Ja, albo on!... Jedno musiało ulec!.. Ale ja nie chciałam, nie mogłam ulec!...

Spojrzenie moje padło nagle na sztylet i myśl szybsza niż błyskawica rozdarła mi mózg.. zabić go!... tak jak na to zasługuje!...

Zanim zdążył przejrzeć mój zamiar – pochwyciłam morderczą broń i pchnęłam go sztyletem w pierś... Cios był niezawodny..

Alicya przysłoniła rękami oczy. Na ławie świadków ozwał się głuchy jęk. Ten jęk wyrwał się z piersi nieszczęśliwej matki Roberta.

– To było dzieło jednej sekundy – ciągnęła dalej Alicya przyciszonym niego głosem. – Kiedy opadł na sofę martwy, uświadomiłam sobie, com uczyniła i przerażenie chwyciło mnie za włosy...

Ale tylko na chwilę... Sumienie moje nie chciało uznać winy... To była tylko konieczna obrona – obrona przed podstępnym rabusiem... I ja, która czułam się powołaną do wyższych zadań, posłanowiłam ratować się..

Z łatwością – wszystkie drzwi były niezamknięte – wydostałam się niespostrzeżona przez nikogo na ulicę.. Tylko lampę zapomniałam zgasić...

Co dalej było wiecie panowie... I dopiero kiedy...

Urwała, wzmagając się z wzruszeniem.

– Kiedy dowiedziałam się od matki Roberta, że on uczciwe względem mnie miał zamiary i że tylko uniósł go chwilowy poryw namiętności, że zabiłam człowieka, który mnie kochał naprawdę.. Ta świadomość niemożliwą była do zniesienia... I dlatego stoję tu przed wami, panowie sędziowie, aby odpokutować za czyn przezemnie popełniony..

Przewodniczący z pewnem wahaniem spojrzał w kierunku prokuratora, a potem obrońcy:

– Wobec kompletnie wyjaśnionej sytuacyi, sądzę że zbytecznem będzie przesłuchiwanie świadków... Chyba, że panowie życzycie sobie..

Prokurator potrząsnął głową, adwokat Thompson podniósł się z miejsca, chcąc coś powiedzieć, ale zanim zdążył otworzyć usta — z ławy świadków powstała kobieta w grubej żałobie.

– Panie sędzio..

– Czego pani sobie życzy?...

– Jestem matką Roberta Macmorrisa. Proszę, aby mnie przesłuchano. Bo chcę złożyć świadectwo na korzyść zbóczyni mego syna..

Szmer zdumienia.. Prokurator, sądząc widocznie, że się przesłyszał, przyłożył rękę do ucha. Również i sędziowie przysięgli spoglądali po sobie ze zdziwieniem

– Co pani mówi? na korzyść oskarżonej? — zapytał przewodniczący.

— Tak! bo dopiero teraz, kiedy słyszałam wszystko, zrozumiałam dlaczego się ta straszna rzecz stała!... Nie ją ani Roberta potępić należy, bo istotną winowajczynią jestem ja sama!...

Wszystkie spojrzenia skierowały się ku tej dziwnej kobiecie, oskarżającej samą siebie w tak zagadkowy sposób. Przewodniczący również spoglądał na nią ze zdziwieniem i niedowierzaniem.

– Proszę, niech pani wytłómaczy się jaśniej.

Przez chwilę drżały wargi staruszki, zaciśnięte tłumionym bólem, potem głębokie, ciężkie westchnienie podniosło jej pierś i zaczęła mówić głosem, który się załamywał:

– Przez pewien czas nie chciałam słyszeć o miłości syna mego dla miss Belmore... Uczucie jego, o którem mi w każdym wspominał liście uważałam za przemijającą namiętność. Przyznaję, że o artystkach scenicznych nie miałam zbyt dobrej opinii i nie życzyłam sobie wcale, aby Robert miał poślubić aktorkę choćby i najsławniejszą... Ale on oświadczył mi, że albo ożeni się z Alicyą Belmore, albo nie ożeni się wcale.. Listy stawały się coraz natarczywsze, przebijał z nich taki ogrom uczucia, że zaczęłam się lękać, aby moja nieustępliwość nie spowodowała nieszczęścia... I wtedy to chwyciłam się ostatniego środka, który obciąża dziś moje sumienie... Napisałam do syna list następującej treści: „Aktorka, której piękność oczarowała cię – z pewnością nie postępuje względem ciebie uczciwie. Tylko o twój majątek chodzi jej. Dlatego udaje miłość, dlatego upiera się przedewszystkiem przy małżeństwie. Tylko jako twoja – posiądzie w całej pełni prawa do twego majątku i dlatego postępuje tak, aby cię skłonić do poślubienia jej..

Jeżeli jednak mylę się, jeżeli ta kobieta szczerze i prawdziwie kocha cię, to nie będę stawiała oporu. Ale tylko w tym wypadku. Dlatego wystaw ją na próbę. Zanim wypowiesz stanowcze, wiążące słowo przekonaj się, czy ona rzeczywiście ciebie samego – a nie dla żadnych ubocznych celów kocha!... Jak to zrobić – tego ci powiedzieć nie mogę, ale ty już znajdziesz sposoby i drogi, aby przekonać się o wartości jej uczucia.. Jeżeli przejdzie zwycięsko przez tę próbę, to znajdzie we mnie kochającą matkę, która związek wasz z całego serca pobłogosławi".

– Ach! wyrwał się okrzyk z piersi Alicyi – więc to miała być próba!... Co za nieszczęsny pomysł!... W taki sposób wystawiać moje uczucie na próbę!... tak przegrać szczęście nas obojga!...

Artystka przysłoniła oczy rękami.

– Mrs Macmorris – zapytał prokurator – kiedy pani wysłała ten list do syna?

— W końcu kwietnia.

– Zatem najpóźniej w połowie maja list musiał już być w ręku syna pani. A jednak – rzecz dziwna – listu tego nie znaleziono w mieszkaniu jego pomimo przeprowadzenia jak najskrupulatniejszej rewizyi.

– Zapewne syn mój przezornie list ten zaraz zniszczył, obawiając się, by kiedy nie wpadł przypadkowo w ręce narzeczonej...

Zawezwany komisarz Gray potwierdził to zeznanie. Wśród popiołów w piecu, pochodzących ze spalonych papierów, znaleziono szczątek listu z podpisem matki Roberta Macmorrisa.

Prokurator obstawał przy swem oskarżeniu i w przemówieniu udowadniał, że oskarżona spełniła czyn zbrodniczy z pełną świadomością i przez długi czas z całem wyrafinowaniem kryła swą winę, przez co cierpieli niewinni ludzie. Żądał więc od sędziów, aby działali w imię prawa, które jest i sprawiedliwe, ale i surowe.

Adwokat Thompson odpowiedział oskarżycielowi w słowach pełnych ognia i zapału. Zaznaczył, że Alicę Belmore należy w tym wypadku uważać raczej za nieszczęśliwą ofiarę, aniżeli za zbrodniarkę.

Po przemówieniu obrońcy sędziowie udali się na naradę, która trwała nadspodziewanie krótko. Zaraz potem ogłoszono wyrok. Alicya Belmore została uniewinnioną wszystkiemi dwunastu głosami.

— — — — — — — — — — — — — —

Kiedy po ukończonej rozprawie Alicya Belmore opuszczała salę, — zbliżył się do niej Henryk Morton z siostrą.

— Jakże się cieszę – rzekła ze słodkim uśmiechem Molly – że to się tak dobrze skończyło.. A cieszyłabym się jeszcze mocniej, gdyby pani swoją obecnością zechciała uświetnić obrzęd moich zaręczyn z adwokatem Thomhsonem...

– Życzę pani szczęścia z całego serca! tak jak pani na to zasługuje!.. ale przybyć nie mogę...

– Pani mi odmawia? — rzekła smutnie Molly. — Dlaczego?

– Miss Alicyo.. – zaczął lekko drżącym głosem Henryk Morton – nie odtrącaj przyjaźni, która pragnie uorować ci drogę do szczęścia!..

Alicya potrząsnęła głową.

– Zapóźno!... Nema dla mnie szczęścia!... Sędziowie mnie uniewinnili, ale ja sama siebie oskarżam, a sumienie własne to nieubłagany sędzia!... Za winę – pokuta!..

— Sztuka!... ta ukochana przez panią sztuka pocieszy, ukoi...

— I sztuka już nie dla mnie..

– Pani opuszcza scenę?

– Tak! miejsce moje przy boku tej nieszczęśliwej staruszki, której będę się starała zastąpić utraconego dziecko!... Panie Henryku! kochałam Roberta, zabiłam go, otoczę jego osieroconą matkę taką opieką, że on mi wybaczyć musi...

KONIEC.

H. G. WELLS.

DZIWNA HISTORYA
ś. p. PANA ELVESHAMA

Tłumaczył L. Bodeński.

Spisuję to opowiadania nie w oczekiwaniu, że spotka się ono z wiarą, ale w tym celu, aby, o ile możności ocalić innego młodego człowieka przed mym losem. Może zdoła on osiągnąć tę korzyść z mojego nieszczęścia, że sam się przed podobnem uchroni. Wiem, że mój własny wypadek nie pozostawia nadziei i do pewnego stopnia jestem już pogodzony z losem.

Nazywam się Edward Jerzy Eden. Urodziłem się w Trentham, w hrabstwie Staffo d, gdzie mój ojciec służył jako ogrodnik. St aciłem matkę mając trzy, a ojca mając pięć lat i wtedy mój wuj Jerzy Eden przyjął mię za swego syna. Był to kawaler, samouk, znany powszechnie w Birminghamie jako wybitny dziennikarz; dał mi ogólne wykształcenie, rozbudził moją ambicyę widokami powodzenia w świecie, a po śmierci, która nastąpiła przed czterema laty, zapisał mi cały swój majątek, wynoszący, po zapłaceniu wszystkich kosztów, około pięćset funtów. Miałem wówczas ośmnaście lat. W testamencie doradził mi, abym użył tych pieniędzy na dokończenie wykształcenia. Obrałem już zawód lekarza i dzięki pośmiertnej hojności wuja oraz powodzeniu w konkursie o stypendyum wstąpiłem na wydział medyczny Uniwersytetu w Londynie. W tym czasie, kiedy zaczyna się to opowiadanie mieszkałem przy ulicy Uniwersyteckiej pod numerem 11, w małym pokoiku na poddaszu, bardzo nędznie umeblowanym i pełnym przeciągów, z widokiem na tyły oficyn szkolnych. Ten mały pokoik stanowił całe moje mieszkanie, bo starałem się oszczędnością nadsztukować moje skromne dochody, aż do ostatniego szylinga.

Miałem właśnie iść do sklepu przy ulicy Tottenhamlourt, aby zanieść parę butów do naprawy, kiedy spotkałem po raz pierwszy małego staruszka z pożółkłą twarzą, z którym teraz moje życie jest nierozerwalnie splecione. Gdym otwierał bramę, stał na trotuarze, wpatrując się jakoś niezdecydowanie w numer domu na drzwiach. Oczy jego – były to szare, pozbawione blasku oczy, zaczerwienione pod powiekami – padły na moją twarz; natychmiast przybrał przyjacielski, trochę namaszczony wyraz twarzy.

– Zjawia się pan w samą porę – zaczął. – Zapomniałem numeru pańskiego domu. Dzień dobry panu, panie Eden!

Zdziwiło mię trochę jego poufałe obejście, bo jeszcze nigdy dotychczas nie widziałem tego człowieka na oczy. Przytem było mi nieco nieprzyjemnie, że spotkał mnie z butami pod pachą. Zauważył u mnie ten brak serdeczności.

– Dziwi się pan, kim u licha mogę być, co? Przyjacielem, o tem mogę pana zapewnić. Widywałem pana poprzednio, choć pan mnie nie widziałeś. Czy mógłbym gdzieś rozmówić się z panem?

Zawahałem się. Nie chciałem pokazywać nędzy swego pokoju pierwszemu lepszemu obcemu.

– Możemy się przejść ulicą. – odparłem. – Na nieszczęście nie mogę pana prosić w tej chwili do siebie. — Mój gest wyjaśnił zdanie, zanim je wypowiedziałem.

– Właśnie to samo myślałem — rzekł, odwracając się najpierw w jedną, potem w drugą stronę. – Ulicą? W którą stronę pójdziemy?

Wsunąłem ukradkiem buty do sieni.

— Wie pan co? — wtrącił nagle. — Ten mój interes, to długa gadanina. Chodź pan ze mną na śniadanie. Jestem stary, bardzo stary i nie mógłbym panu wyjaśnić dobrze wszystkiego swoim cienkim głosem wśród turkotu wozów...

Położył przekonywująco swą chudą, drżącą nieco rękę na mojem ramieniu.

Nie byłem jeszcze w takim wieku, aby stary człowiek nie mógł mnie zaprosić na śniadanie. Zarazem jednak jakoś mi się nie podobało to niespodziane zaproszenie.

— Wolałbym... — zacząłem.

— Ale jabym nie wolał — przerwał, podchwytując. — A należy się chyba jakaś grzeczność moim siwym włosom.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Każde miasto większe ma jakiś specyalny artykuł spożywczy, roznoszący jego sławę po całym świecie. Słynął Gdańsk swemi wódkami, Toruń piernikami, Warszawa cukierkami, Lwów miodami, Częstochowa kaszką, a Kraków kiełbasami. Nie tak dawno jeszcze, bo dziesięć lat temu wstecz, kiełbasy krakowskie roznosiły daleko na Zachód sławę podwawelskiego grodu, zwłaszcza we Wiedniu „krakowska kiełbasa" należała do bardzo poszukiwanych specyałów. Zasługiwała też na to w całej pełni, jakość jej bowiem, sposób wykonania i cena nie przedstawiały nic do życzenia. Wyrabiano ją z mięsa wieprzowego, rozróżniano kiełbasy krajane, siekane i polędwicowe, kilogram najtańszej, t. j. siekanej, kupić można było za ośmdziesiąt centów.

Przyszła wojna, po niej zmieniły się stosunki, a nie pozostała ona bez wpływu i na kiełbasy krakowskie, które otoczone dawną sławą, znajdują ciągle jeszcze chętnych nabywców, ale, przyznać trzeba, między dzisiejszemi a dawnejszemi zachodzi różnica większa, niż między dniem a nocą. Nazywają się „krakowskie", bo stąd są rodem, namnożyło się ich sporo gatunków, że wspomnimy tylko: zwykłe siekane, krajane, polędwicowe, wieprzowe, czysto wieprzowe, wiejskie i t. d., z czego się je jednak wyrabiało, to było tajemnicą urzędową naszych panów masarzy, a strzegli jej pilniej, niż zawodowi dyplomaci lub polityci.

Przypadek zrządził, że opinia publiczna dociekła nareszcie części kiełbasianej tajemnicy, bo oto doszło do jej wiadomości, iż pewien krakowski restaurator, wychodzący widocznie z założenia, że nic w naturze nie zginie, sporządza je z mięsa nierogacizny zapadłej na zaraźliwe choroby i przeznaczonej przez weterynarza na zakopanie. Proceder ten, prowadzony od dłuższego czasu, przynosił bardzo piękne dochody, pan restaurator miał w najkrótszym już czasie przejść z rzędu milionerów do miliarderów.

Powinęła się noga, w Krakowie zrobił się niemały huczek, a każdy konsument kiełbasy mimowoli chwytał się za swój żywot, czując tam jakieś niesamowite łaskotania. Władze wkroczyły energicznie, restauracyę, gdzie podawano podobne specyały, zamknięto, ale kiełbasy krakowskie dotknął cios, odbierający im dawną sławę, jeśli nie na zawsze, to w każdym razie na długie lata.

Wyczytawszy o tem w pismach codziennych zrozumiał dopiero ten i ów z obcych, odwiedzających w ostatnich czasach nasze miasto, dlaczego to wspomnienia z pobytu między nami tak długo pozostają nie tylko w sercu, ale i żołądku i każdy przysiągł sobie, że odwiedzając Kraków o kiełbasę ani spyta, a zaopatrzy się w nią na wyjezdnem chyba w tym wypadku, jeśli ma w domu kogoś takiego, kogo chciałby się pozbyć z tego świata

Restaurator ów, a raczej kiełbaśnik niefachowiec, tłómaczył się wprawdzie w płatnych komunikatach, iż jest czysty jak łza, a padł jedynie ofiarą ludzkiej złośliwości, urzędowe sprostowania powiedziały przecież zupełnie co innego, stając się przyczyną, iż i rodowity Krakowianin, dotychczas amator kiełbas, odwraca się od nich z niechęcią, chociażby pochodziły z najsolidniejszej firmy.

Na szczęście dla kiełbasy, sprawa ta przypadła na sam początek wakacyi, zatem na okres, kiedy co drugi obywatel ma głowę nabitą jeśli nie wyjazdem na wakacye, to bodaj wysłaniem rodziny na świeże powietrze. Ruch ten ożywił się niebywale w ostatnich dniach, gdyż pogoda jakoś się ustaliła, a temperatura podniosła. Ci, którzy wybrali się na willegiaturę zaopatrzeni we futra, klną na tych, co ich do tego namówili, bo należało się spodziewać, że ze Stanów Zjednoczonych wcześniej czy później otrzymamy wraz z dolarami bodajby resztkę owych tropikalnych upałów, dręczących nieszczęśliwy naród, zmuszony gasić swe pragnienie czystą wodą.

Na świeże powietrze, korzystając z wakacyj, wyjechała także większość naszych polityków wszelkich odcieni, na bezterminowe wybrał się b. minister skarbu, p. Grabski, oddając spuściznę po sobie panu Lindemu, ostatnio dyrektorowi Pocztowej Kasy Oszczędności

Nominacyę nowego ministra, który przedtem piastował już tekę ministra poczt, przyjęto na ogół dość życzliwie, nawet prasa należąca do innych stronnictw politycznych, wyrażała się pochlebnie o jego zdolnościach finansowych. Aliści nie minęło pięć dni od nominacyi, a tu, bezpośrednio po konferencyi finansowej w Spale u prezydenta Wojciechowskiego rozchodzi się wieść, że minister Linde podaje się do dymisyi, ponieważ nie posiada jasno określonego programu finansowego. Te same pisma, które go niedawno pasowały na rycerza, odmawiają mu teraz kwalifikacyi, zarzucając stronnictwu z którego wyszedł, iż wyświadczyło niedźwiedzią przysługę swemu pupilowi, wysuwając go na tak odpowiedzialne stanowisko.

Zdaje się, że tak prędko nie przyjdzie do tego, już choćby tylko ze względu na ferye parlamentarne, podczas których zmiany takie załatwia się tylko w najkonieczniejszej potrzebie, a taka w tym wypadku niż zachodzi, dopóki się pan minister publicznie nie wygada, to jest nie wygłosi swego exposé, na które można się zgodzić lub nie i wtedy dopiero myśleć o szukaniu następcy.

Tyle się tylko dotąd dowiedzieliśmy z warszawskiej prasy, że nowy minister nie jest takim fanatycznym zwolennikiem bonów złotych, jak jego poprzednik i nie będzie się starać o przymusowe ich wprowadzenie w życiu codziennem, pozostawiając je w charakterze papierów przeznaczonych na lokatę oszczędności a dołoży starań, aby marka polska odzyskała swe siły.

Pana ministra Grabskiego pożegnano po raz drugi bez wielkiego żalu, nie życząc mu bynajmniej, aby miał powrócić po raz trzeci i próbować zastosowania w praktyce teoryi, które mogą być dobre, ale nie w życiu codziennem. Ze złotymi bonami narobił nam bigosu finansowego, ogromnie niestrawnego i stwierdzającego nie po raz pierwszy, jak się zdaje nie po raz ostatni, że u nas nie przewiduje się nic na dalszą metę, lecz żyje się z dnia na dzień. Prawda, że bony złote przyniosły skarbowi państwa chwilowo trochę więcej gotówki, lecz ra dość z tego powodu jest przedwczesna i nieuzasadniona, bo ustąpić musi miejsca wprost przeciwnemu uczuciu gdy przyjdzie termin ich wykupna, kiedy trzeba będzie płacić za nie więcej właścicielom, niż wpłynęło swojego czasu do kasy państwowej.

Spekulanci walutowi nie gniewają się bynajmniej na byłego ministra, gdyż dał im w rękę zupełnie legalny środek do prowadzenia operacyi walutowych. Manipulując nimi po swojemu nie narażają się wcale na odpowiedzialność, a nawet mogą rościć sobie pretensyę do uchodzenia za dobrodziejów skarbu państwa.

Dali temu wyraz krakowscy kamienicznicy, ogłaszając bardzo urzędowe wezwanie do ogółu, aby, nie czekając na uchwalenie w Sejmie ustawy o czynszach mieszkaniowych, już od pierwszego lipca b. r. zechcieli je płacić w złotych polskich, na razie w wysokości piętnaście procent przedwojennego czynszu, przyjmując normę obliczeniową ministeryalną złotych polskich na marki. W miłej zgodzie podali sobie w tym wypadku rękę członkowie zrzeszeń kamienicznikow, tak chrześciańskich jak i mieszanych i wszystko byłoby dobrze i w porządku gdyby na to zechciał się zgodzić także i interesowany bezpośrednio, to jest lokator. Lecz on powiada zupełnie słusznie:

— Bardzo ładnie!... Zapłacę wam nawet i dwadzieścia pięć procent przedwojennego czynszu, ale pod warunkiem, że moje pobory będę otrzymywać również w złotych polskich, licząc sto przedwojennych koron równających się, jak orzekł pan minister, sto sześciu złotym polskim!...

Ponieważ po zapowiedzi nowego ministra tego oczekiwać nie można, krakowscy kamienicznicy będą się musieli obejść smakiem i szkoda pieniędzy na druk szumnych ogłoszeń, któremi chcieli ogółowi swą wolę narzucić!

Warto się przy tej sposobności zapytać czy w podobnie niejojalny sposób byliby sobie postąpili za czasów rządów zaborczych, które z pewnością nie zgodziłyby się na tak jaskrawe występowanie przeciw porządkowi publicznemu. Przyznajemy im zupełną racyę, jeśli się czują pokrzywdzeni, ale powinni czekać, aż ich niedolę usunie ustawa, uchwalona przez Sejm, nie zaś uprzedzać ją. Na otarcie łez mają przecież „świadczenia dodatkowe", z których korzystają w całej pełni, a nikt przeciw temu nie oponuje.

Czy marka polska zdoła się jakoś ustabilizować pod nowymi rządami, to okaże dopiero przyszłość, nie nastąpi to jednak wcześniej, jak po przeprowadzeniu reformy dotychczasowych podatków, we wszystkich trzech byłych zaborach zupełnie różnych, inaczej bowiem opodatkowani są byli Galicyanie inaczej Kongresowiacy, a inaczej Wielkopolanie. Na razie zwiększa się w miarę spadku wartości marki stawki podatkowe, co jest pokrzywdzeniem niektórych dzielnic, gdzie dany podatek był niższy, niż w innych.

Te ciągłe zwyżki odbijają się bardzo niekorzystnie na handlu i przemyśle, ogół na nie narzeka, lecz je płaci.

W miarę tych podwyżek drożeje wszystko, w jak przyspieszonem idzie to tempie, przekonać się można choćby tylko na cenach tytoniu, rosnących z miesiąca na miesiąc o pięćdziesiąt lub sto procent. Paczka tytoniu fajkowego, wartość dawnych dwu centów, kosztuje dziś trzy tysiące marek, nie można się zatem dziwić, że równocześnie i zapałki podskoczyły na pięćset marek za pudełko tyle też trzeba płacić za zwykłą bułkę o wadze sześciu deka.

Stanowisko nadzwyczajnego komisarza do walki z lichwą po usąpieniu p. Hartleba nie zostało obsadzone, mamy natomiast komisarza drożyźnianego i komisyę obliczającą procento we zwiększanie się drożyzny co miesiąc, noi oczywiście drożyznę, panoszącą się pod ich rządami coraz bardziej.

Zaczęliśmy od Gdańska, wspominając o jego wódkach, uwiecznionych nawet przez Mickiewicza w „Panu Tadeuszu", bodaj przy końcu kroniki wrócić musimy nad Bałtyk, skoro sprawa stosunku naszego do tak zwanego „wolnego miasta" staje się coraz bardziej aktualną i piekącą.

Teraz dopiero widzi każdy nieuprzedzony, jaką krzywdę wyrządzono Polsce, zamykając jej dostęp do jej jedynego naturalnego portu, położonego u ujścia głównej naszej drogi wodnej. Stało się zadość woli nie tyle Rady Najwyższej, ile Lloyda Georgea, który odgrażał się zawsze, że musi zdeptać niemiecką gadzinę, a w rezultacie otaczał i otacza ją dotąd swymi względami. Gdy mieliśmy w Europie jedne zjednoczone Niemcy, było dość kłopotu, po ogłoszeniu traktatu wersalskiego jest daleko więcej, bo mamy w Europie aż trzy państwa niemieckie, właściwe Niemcy, Gdańsk i Prusy Wschodnie, politycznie wprawdzie rozdzielone, lecz stanowiące przecież jedną całość, marzącą stale o odwecie.

W Gdańsku ulokowano nas na zasadzie równych praw z wolnem miastem, lecz senat gdański, w którym rej wodzą pruscy hakatyści, kpi sobie w żywe oczy z postanowień traktatu i działa na niekorzyść Polski, jak gdyby pewny bezkarności. Wszystkie upominania się Polaków o swe aż nazbyt widoczne krzywdy, spotykają z lekceważącym protestem ze strony Gdańszczan, skargi do najwyższych areopagów, jak Liga Narodów lub Rada Ambasadorów, nie odnoszą skutku, przedstawiciele senatu gdańskiego potrafią się zawsze wykręcić sianem i przedstawić się w roli pokrzywdzonych, a równocześnie berlińska prasa rozszerza alarmujące wieści o rzekomo przez Polskę czynionych przygotowaniach do zbrojnego zajęcia wolnego miasta i pogwałcenia w ten sposób traktatu wersalskiego. Niedawno budapeszteńskie pisma zamieściły telegram, datowany z Berlina, że jenerał Żeligowski organizuje akcyę orężnego zajęcia Gdańska.

Autorowie depeszy sami w nią z pewnością nie wierzyli, ale podali ją na żer żądnych podobnych wiadomości, bo rząd polski z podobnym zamiarem zupełnie się nie nosi, a jeśli przygotowuje jakieś represye wobec rozzuchwalonych bezkarnością Gdańszczan, to są one i będą natury ekonomicznej, a nie wojskowej. Te zarządzenia rządu polskiego, skierowane przeciw Gdańskowi, muszą się odbić na nim daleko boleśniej, dobrze on to rozumie i przeczuwa i dlatego woła gwałtu o ratunek przed imperializmem Polski, która przecież nie żąda nic więcej, jak tylko poszanowania swych słusznych praw, przyznanych jej przez Radę Najwyższą, a przyjętych i przez Gdańsk, który traktat wersalski podpisał.

Echa pobytu prezydenta Wojciechowskiego w Krakowie

Hołd spółdzielców swemu prezesowi.

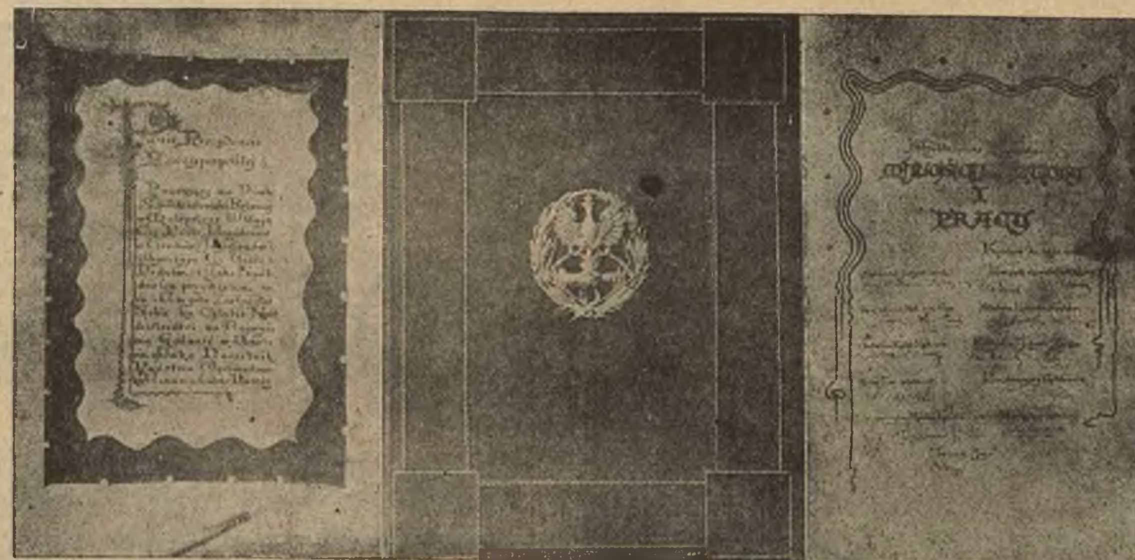
Prezydent Rzeczypospolitej p. St. Wojciechowski jest jak wiadomo, jednym z najwybitniejszych przedstawicieli kooperacyi polskiej. Zapoznawszy się w czasie pobytu w Anglii z ruchem spółdzielczym tego kraju, zakłada i redaguje po powrocie do ojczyzny tygodnik „Społem". Z jego inicyatywy powstaje Two kooperatystów w Warszawie, którego prezesem był do ostatniej chwili.

Po zorganizowaniu Związku Polskich Stowarzyszeń Spożywców został wybrany jego dyrektorem.

Po wybuchu wojny pracuje na polu spółdzielczem jako profesor historyi i teoryi kooperacyi w Wyższej Szkole Handlowej w Warszawie, oraz pisze artykuły i książki z zakresu kooperacyi. Ostatnio przed wyborem napisał obszerne dzieło p. t. „Kooperacya w rozwoju historycznym", oraz zamierzał wydać w niedługim czasie książkę o kooperacyi w Polsce.

Osoba Prezydenta jest w tych warunkach spółdzielcom w kraju szczególnie miłą, to też w czasie podróży Jego po Polsce spółdzielcy witali Go wszędzie gorąco.

W Krakowie, gdzie Prezydent w r. 1910 wykładał na kursie spółdzielczym, urządzonym przez Szkołę nauk politycznych, delegacya spółdzielczości rolniczej złożyła do rąk p. Prezydenta piękny adres.

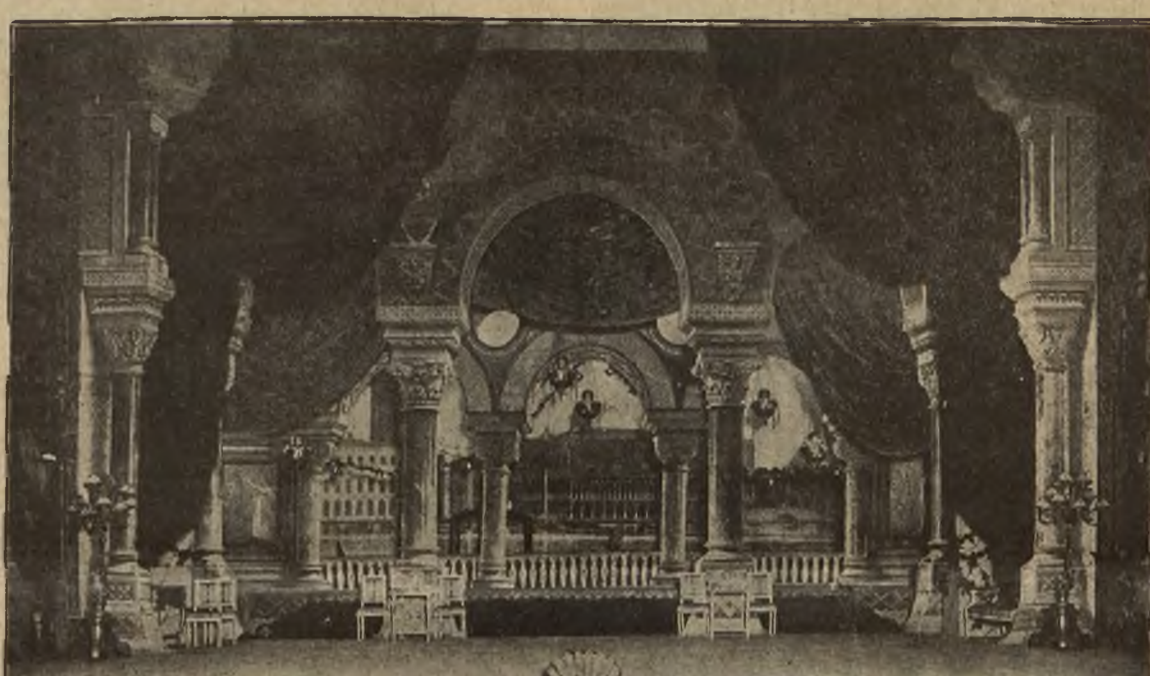


Kooperatyści w hołdzie prezydentowi Wojciechowskiemu: Ozdobny adres złożony prezydentowi przez Krakowskie Stowarzyszenia Spółdzielcze.

Nowa opera polska.

Podawaliśmy już w numerze poprzednim wiadomość o wielkim sukcesie nowej opery polskiej p. t. „Casanowa" opiewającej kilka barwnych scen z życia tak słynnego awanturnika i donżuana międzynarodowego. Obecnie podajemy kilka nadesłanych nam z Warszawy zdjęć tej sztuki, która do dziś nie przestaje być senzacyą artystyczną stolicy. Do tego niezwykłego powodzenia przyczynia się zarówno wybitna wartość muzyczna opery skomponowanej przez Ludomira Różyckiego, jak i świetne libretto, pióra znanego powieściopisarza i artysty dramatycznego p. Juliusza Krzewińskiego, jak wreszcie niezrównanie barwne dekoracye Wincentego Drabika i wreszcie świetne wykonanie. Poniżej podajemy grupę autorów i najwybitniejszych współpracowników w dziele wystawienia tej opery; Dalej: fotografię przedstawiającą króla Stanisława Augusta (p. Iwo) i biskupa Krasickiego w otoczeniu dam królewskiego dworu (jak wiadomo Casanowa bawił przez czas dłuższy w Polsce, cieszył się protekcyą króla i miał tu szereg przygód — m. innemi pojedynek na pistolety z potężnym hetmanem Branickim, pojedynek — oczywiście o kobietę).

Wreszcie podajemy zdjęcie dekoracyi aktu IV. przedstawiającej salę w pałacu prefekta Wenecyi, w której odbywa się bal i maskarada weneckich zapustów.



Nowa Opera polska: Dekoracya IV, aktu „Casanowa" projektowana i wykonana przez Wincentego Drabika, a przedstawiająca karnawał wenecki. Fot. J. Malarski, Warszawa.

Złote gody ze sceną.

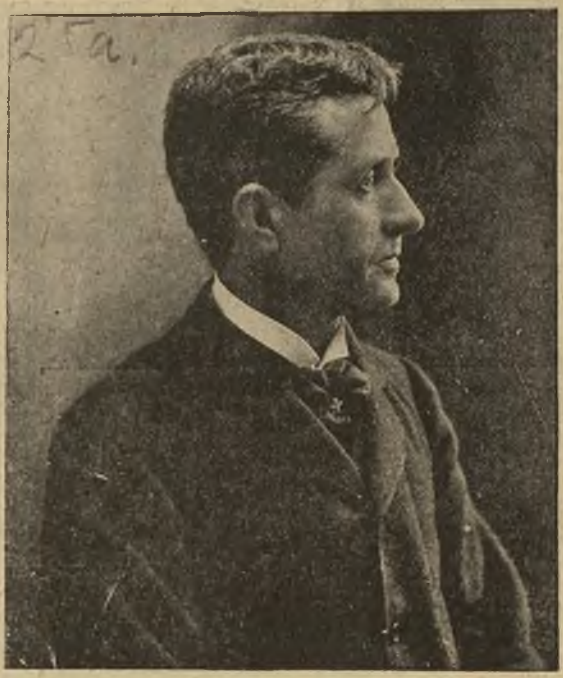
50-letni jubileusz Fr. Wysockiego.

Był to jeden z piękniejszych jubileuszów krakowskich. W takich dniach rzadkich uroczystości chciałoby się wołać do młodego pokolenia artystów: patrzcie, patrzcie młodzi! Bo Wysocki jest naprawdę jednym z najwybitniejszych aktorów krakowskich. Wystarczyło ujrzeć Go w roli Wistowskiego na uroczystości jubileuszu i nazajutrz w niewielkiej stosunkowo roli pedela akademii sztuk pięknych w „Koledze Cramptonie" by ocenić miarę jego talentu. Przy takim mistrzu jak Frenkiel — Wysocki okazywał się partnerem godnym desek pierwszej sceny. W „Cramptonie" szczególniej jeden Wysocki harmonizował się z Frenklem i wraz z nim odbijał wysokim stylem gry od reszty zespołu. Szlachetna prostota, dyskretny i szczery sentyment, opanowany swobodny giest i dykcya wzorowa — wszystkie te cechy wysokiego stylu posiada Franciszek Wysocki.





Oowa Opera polska: 1) Król Stanisław August (p. Iwo) i biskup Krasicki w otoczeniu dam dworu. 2) Autorowie i wykonawcy: Od lewej do prawej siedzą: Julian Krzewiński (autor libretta, Emil Młynarski (dyrektor Opery warszawskiej) i Ludomir Różycki (kompozytor). Stoją: Rodziński (kapelmistrz), Kowalski (reżyser), Dygas (wykonawca tytułowej roli Casanowy) Zajlich (baletmistrz) i Wincenty Drabik (twórca dekoracyi). Fot. Jan Malarski, Warsz wa.



Złote gody ze sceną: Franciszek Wysocki.

Wysocki jest raczej lwowskim artystą niż krakowskim — w początkach bowiem tylko, za dyrekcyi Kośmiana — i obecnie od chwili otwarcia Bagateli, gra na krakowskich deskach — lwią zaś część swej twórczości scenicznej oddał Lwowu, gdzie przepędził 37 lat swego pracowitego i bogatego w przejścia artystyczne żywota. Tym niemniej Kraków uznaje go za swego i serdeczną owacyą dał mu poznać, że nie tylko jego wielki talent ceni, ale serdeczną go obdarza sympatyą.

Nowy komendant P. P. na Kraków.

Zastępcą komendanta Policyi Państwowej na okręg krakowski, mianowanym przed kilku dopiero tygodniami, jest znany w kołach krakowskich podinsp. Stefan Buszek. W Krakowie kończył on studya prawnicze i w Krakowie odbył praktykę sądową. Następnie przeniósł się w r. 1911 do Lwowa, gdzie pracował przez 5 lat jako referent spraw karnych Izby Skarbowej a potym jako komisarz w Prezydyum tejże izby. W organizowaniu polskiej służby bezpieczeństwa P. Buszek brał wybitny udział od pierwszych chwil istnienia Rzeczpospolitej. Przy pierwszych pracach organizacyjnych objął stanowisko zastępcy naczelnika urzędu śledczego w Krakowie, następnie zaś w r. 1921 powierzone miał miał sobie zorganizowanie policyi politycznej na województwo krakowskie. Wobec smutnego wywiązania się z powierzonych mu zadań otrzymał p. nadkomisarz Buszek nominacyę na podinspektora i zastępstwo komendy P. P. na okręg krakowski.

Młodzi śpiewacy.

Nowy kontygent adeptów sztuki śpiewaczej dała scenie i estradzie polskiej szkoła prof. St. Bursy. Nauczyciel ten pełen zamiłowania w swoim fachu, uczni swych posiada już na prawie wszystkich scenach polskich, a i nadal nie ustaje w pracy uczciwej a owocnej. Starannie przygotowany i umiejętnie stopniowany program popisu przedstawił doskonałe materyały głosowe w paniach: Saganinkównej, Bursównej, Szrombównej, panach: Suwarze, Kellerze i Kleinie; więcej zaawansowanych w pp. Krzeczowskiej, Salawie, Grabowskiej i dr. Pietrzkiewiczu; a w końcu uczni przygotowanych już do zadań scenicznych, jak: panna Poczynkówna (piękny sopran koloraturowy o słodkiem brzmieniu), panna Bąkowska (sopran liryczny o dużym sentymencie i kulturze) i pan Toekoelly (tenor liryczny o wybitnej muzykalności).

50-lecie Bratniej Pomocy
Szewców Lwowskich.

Tow. Bratniej pomocy Szewców Lwowskich święciło w ub. miesiącu 50-lecie swego istnienia. Zbiórka odbyła się w gmachu Izby Rękodzielniczej, skąd wyruszyli zebrani pochodem przez miasto ze sztandarami licznych Korporacyi i delegatami, poprzedzani muzyką terminatorów św. Stanisława Kostki, do kościoła OO. Franciszkanów, gdzie odbyło się dziękczynne nabożeństwo z kazaniem okolicznościowem.

Po nabożeństwie ruszono do Stowarzyszenia Rękodzielniczego „Gwiazda“, gdzie odbyła się wspólna fotografia poczem wspólne śniadanie i kiedy goście i członkowie w liczbie około 250 osób zasiedli przy stole, p. dyrektor Litwin powitał gości i delegatów, dziękując za tak liczne przybycie następnie skreślił dzieje powstania Towarzystwa i określił powody założenia tegoż.

Następnie zabrał głos czcigodny prezydent miasta p. Józef Neumann i podziękowawszy za powitanie stwierdził, że każda placówka łącząca rękodzielników w zawodzie nawet w Stowarzyszeniach humanitarnych przyniesie owoce pracy, czego dowodem są złote gody Towarzystwa. Prezydent zakończył apelem, by wszystkie zawody tworzyły siłę przez zrzeszenia a natenczas rękodzieło będzie zabezpieczone.

Po licznych przemówieniach wielu delegatów i gości oraz członkow i toastach na cześć rozwoju Towarzystwa uroczystość zakończono zebraniem poważnej kwoty na budowę własnego domu.



Nowy komendant P. P. na Kraków. Podinspektor Stefan Buszek zastępca komend. P. P. na Okręg Krakowski.



50-lecie Bratniej Pomocy Szewców Lwowskich Grupa członków Bratniej Pomocy z prezesem p. Litwinem pośrodku. Fot. M. Miluz, Lwów.



Młodzi śpiewacy: Zbiowa fotografia uczniów prof. St. Bursy.

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie wskazać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya „Nowości Illustrowanych“, Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*

KONKURS NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE



Mierzwicka Stanisława, Lwów.



Lili Kurpielówna, Wilno.



Nina Polińska, Warszawa.

Kult piękna jest jednym z ważniejszych czynników w duchowym rozwoju ludzkości. Jego dziełem jest świat sztuki — artystyczny dorobek wieków. Ale sztuka jest tylko indywidualnem odbiciem i ujęciem piękna w naturze. Piękno to odnajdujemy i podziwiamy we wszystkich zjawiskach i tworach przyrody, a przedewszystkiem u królowej stworzenia — kobiety. Twarz kobieca — ten najwdzięczniejszy temat dla artystów, tworzących poematy malarskie, jest w naturze najbardziej bezpośrednim wyrazem piękna. Tutaj natura idzie w zawody ze sztuką. Dlatego też nie są pozbawione znaczenia artystycznego urządzane we wszystkich krajach i cieszące się ogromnem powodzeniem konkursy piękności dla kobiet. Takie konkursy, urządzone w Krakowie na kilku balach podczas ubiegłego karnawału, wzbudziły duże zainteresowanie, choć były tylko ograniczone do szczupłego grona uczestniczek zabawy. To zachęciło nas do ogłoszenia

KONKURSU NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE



Eugenia Zofia Stefańska, Kraków.

Panie pragnące stanąć do tego konkursu zechcą przesłać pod adresem Redakcyi „Nowości Illustrowanych“, Kraków ul. Kazimierza Wielkiego 95. swą **fotografię z własnoręcznym podpisem.** Do fotografii należy dołączyć wypełniony blankiet, który znajduje się na ostatniej stronie naszego pisma. (Fotografie nadesłane przez osoby trzecie nie będą uwzględnione). Nadsyłane fotografie będą oddane do oceny specyalnej komisyi artystycznej a ta zaopiniuje, które z nich zostaną zamieszczone w „Nowościach Illustrow.„ **w gronie najpiękniejszych kobiet.** Podobizny te będziemy zamieszczać w miarę ich napływania w każdym numerze. Po wyczerpaniu wszystkich nadesłanych fotografii, nastąpi **rozstrzygnięcie konkursu przez głosowanie Czytelników „Nowości Illustrowanych“.** Będą **trzy nagrody** 1) roczna prenumerata „Nowości Illustrowanych“, 2) półroczna i 3) kwartalna. Nadto wszystkie nagrodzone panie otrzymają **artystycznie wykonane dyplomy pamiątkowe.** — Termin głosowania i jego warunki podamy później, obecnie zaś zapraszamy panie do wzięcia udziału w konkursie i nadsyłania nam swych fotografii.

Konkurs najpiękniejszych kobiet w Polsce

Upoważniam Redakcyę „Nowości Illustrowanych“ do zamieszczenia mojej fotografii w dziale konkursowym

(Własnoręczny podpis): ....

Dokładny adres: Imię i nazwisko (wyraźnie) ....

Miasto (ostatnia stacya pocztowa) ....

Ulica .... Nr. ....

Materyały wełniane!!

na suknie i kostyumy damskie,

na ubrania męskie

płaszcze i raglany.

Markizety, batysty, woale, perkale, zefiry i szyfony

wszystko w wielkim wyborze i po cenach konkurencyjnych

poleca

KAROL JAROSZ

Kraków, Floryańska 35 (róg ul. św. Marka).

O G Ł O S Z E N I A

Pończochy damskie
w wielkim wyborze gatunków i kolorów
Skarpetki męskie i dziecinne
Koszulki kolorowe dla dzieci
Rękawiczki damskie, męskie niciane
Przybory do szycia, nici
jedwabie, bawełny, guziki, koronki, hafty, wstążki
Perfumy, mydła,

poleca firma

E. Ostaszewski E. Mayer

w Krakowie, Rynek L. 5.
— Filja w Zakładzie kąpielowym w Rabce. —

FIRANKI, PORTJERY I KAPY NA ŁÓŻKA

poleca w wielkim wyborze i po cenach bardzo przystępnych firma

KAROL JAROSZ
Kraków, Floryańska 35

Dr Witold Lipiński

ordynuje w chorobach
-- **skórnych** --
i wenerycznych

Aleja Mickiewicza L. 14.

(róg ulicy Czystej)
od godz. 2—5 p. poł.

Stanisław Hachaj

ul. św. Tomasza l. 9.

Magazyn i pracownia obuwia damskiego, męskiego i dziecięcego.

Najnowsze fasony angielskie, francuskie, warszawskie, stale na składzie w wielkim wyborze.

„BLUSZCZ“

Tygodnik Kobiecy

ROK 56.

Prowadzi bogaty dział literacki, poradnię hygieniczną i kosmetyczną. Daje wzory mód i robót kobiecych.

Żądajcie wszędzie!

Redakcja i Administracja: Warszawa Krakowskie Przedmieście L. 2. Koło Polek.
— Konto czekowe P. K. O. Nr. 3700. —

Zakład techniczno - dentystyczny

N. KLEINBERGERA

Kraków, Szewska 27 I p. (narożnik plant)
otwarty od godz. 9—1 i od 3—6

NOWOŚĆ! NOWOŚĆ!

Wacław Grubiński

Niedyskrecje księżyca

(humoreski)

Strażniczki cnoty. — Fuszer. — Inny departament. — Tajemnica letniej nocy. — Przygoda samobójcy.

Cena zasadnicza 0.50.

Tegoż autora:

Wojenny balonik 1.— Przesilenie 1.
Rymy i proza 1.50 Piekło 2.50 Dwie nowele 0.50

Mnożnik — ustalony przez Związek księgarzy-wydawców w Warszawie.

Gebethner i Wolff Kraków.

Żądajcie pocztówką, nasz najnowszy **cennik wszelkiego rodzaju manufaktury**, Ekspedycji przesyłek pocztowych „**Nadzieja**“ **w Łodzi** ul. Kilińskiego 40/ B.K., który natychmiast będzie wysłany **zupełnie bezpłatnie** i przyniesie Sz. P. dużo kożyści.

Istniejący od lat dwudziestu

Handlowo-przemysłowy Związek katol. krawców

Stowarz. zarej. z ogran. poręką.

w Krakowie, Floryańska 7.

przyjmuje zamówienia na ubrania męskie podług miary, z własnego lub powierzonego materyału. Obsługa rzetelna, terminowa. — Suknie dla Przew. Duchowieństwa sporządzają fachowi specyaliści. Sprzedaż materałów na kostyumy męskie i na damskie.

2

NUMERY NAFTOWE TYGODNIKA DOSTAW

Na wzór specyalnych numerów Tygodnika dostaw a to:
Numeru Żelaznego
Numeru Drzewnego
Numeru Budowlanego
wydany w lipcu b. r.

2 NUMERY NAFTOWE TYGODNIKA DOSTAW

których zadaniem będzie zaznajomienie wszystkich dzielnic Polski z Małopolskim Przemysłem Naftowym.

Jednocześnie temuż przemysłowi przedstawiony będzie całokształt wszelkich źródeł zaopatrzenia jego potrzeb w granicach Polski.

Ogłoszenia, opisy monografje, notatki i t. p. do powyższych numerów przyjmuje nasza Administracja oraz wszelkie Biura Ogłoszeń w Polsce po cenach naszej taryfy normalnej.

WYDAWNICTWO TYGODNIKA DOSTAW WE LWOWIE.

NAJSTARSZA w MAŁOPOLSCE PRACOWNIA DLA NAPRAW MASZYN BIUROWYCH, POLECA I SPRZEDAJE MASZYNY DO PISANIA SWIATOWEJ SŁAWY **Ideal**

W. KEYHA MECHANIK, KRAKÓW, UL. FLORJAŃSKA 3.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Dr. Witold Lipiński Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina.